



Nr. 49.

Warszawa, dnia 22 Listopada (4 Grudnia).

Rok 1875.

Dobra rodzina.

IX.

W kilka dni później po znalezieniu chustki, okręt zatrzymał się w pobliżu nowej wyspy późnym bardzo zmierzchem. Była to już ostatnia wyspa którą zwiedzić miano, bo dalsze wszystkie były zamieszkałe przez dzikie ludy i tak wojownicze, że chcąc je przejrzeć należało koniecznie wojnę toczyć z mie-

chając Jasia obudzić aby udać się z nim do kajuty, gdy usłyszał jakiś na morzu szmer, jakby pluskanie wioseł, coś podobnego do szumu fali przerywanej sunącą się po niej łodzią. Wpatrzył się pilnie w przestrzeń ale nie mógł dopatrzeć: słuchał, szmer nie ustawał, a gdy ginał w jednej stronie wzmagał się zaraz w drugiej, tak że zdawał się być ciągłym bez żadnej przerwy, tylko przesuwanym się od miejsca do miejsca. Zdziwiło go to niezmiernie, ale z kądyby pochodził nie uniał sobie wytłomaczyć.

— Czy słyszysz Pawle?—zapytał majtko na stra-



Czekajmy rzekł pan Walont, zagadka ta musi się wyjaśnić.—

szkańcami. Na to nie było sił dostatecznych.

Długo w noc siedział pan Walont na pokładzie dumając nad swoim nieszczęściem a obok niego Jaś leżał na ławce uspiomy długiem czuwaniem. Noc była ciemna, w górze świeciły gwiazdy, zasłaniane tylko kiedy niekiedy przesuwanymi się chmurkami. Po północy zawiął lekki wietrzyk, w górze ciemna opona z chinur zasłoniła zupełnie migoczące gwiazdki i taka ciemność powstała, że o parę kroków nie rozeznac nie można było. Zrobiło się chłodno, pan Walont czując dreszcze już powstał

ży będącego. Co to za głosy?

— Słyszę ale nie mogę się domyślić, odrzekł czatownik, co to jest takiego. Może to jakie potwory morskie gromadą przepływają w pobliżu okrętu.

— Zapewne, bo cóżby innego być mogło? Pan Walont zaciekawiony i zaniepokojony pozostał na pokładzie, i jak tylko zabłysła na niebie jutrenka niewyraźnym światelkiem i ciemność cokolwiek się zmniejszyła, wpatrzył się na brzegi wyspy, i zdało mu się że widzi przy nich jakby łodzie przymocowane.

— Tak, to są łodzie dzikich, potwierdził Kapitan okrętu, i zapewne to ich plusk słyszeliśmy w nocy. W noc ciemną tylko żeglują zbójcy i rabusie, można więc na pewno wnosić, że na wyspie znajduje się jakieś dzikie pokolenie, i że drugie nieprzyjazne mu zrobiło na nie wyprawę. Będzie więc bitwa, zapewne z przeciwnej strony wyspy, skoro tu łodzie zostawiono.

Podczas tej rozmowy na wzgórzu nad samym brzegiem wyspy znajdującym się, błysnął ogień i wkrótce zamienił się w wielki gorejący płomień.

— To znak trwogi ze strony mieszkańców wyspy, odezwał się kapitan, czyby od nas pomocy domagano się? Nie możemy jednak mieszać się w podobne awantury.....

— A jeżeli tam są nasi ukochani? zapytał pan Walont.

— Niepodobna, odrzekł kapitan. Wyprawa liczna dzikich napastników dowodzi, że na wyspie jest siła znaczna dla pokonania której trzeba użyć wszystkich wybiegów wojennych, a szczególnie podstęp i ciemnica nocnej. Gdyby wyprawę robiono na naszych rozbitków, nie zadawanoby sobie tyle trudu i napaść w dzień zostałaby przedsięwzięta.

W tej chwili na morzu tuż przy okręcie, dał się słyszeć plusk i jakieś jakby rozpaczliwe wołanie. Przyjrano się bacznie i zobaczono jakiegoś człowieka pasującego się z falą i wyciągającego ręce ku okrętowi z błagalną prośbą. Natychmiast spuszczone drabinę sznurową, nieznajomy uchwycił ją i lekko wdrapał się na pokład. Był to młodzieniec dziki, coś opowiadał z wielką trwogą, ale nikt nie mógł słów jego zrozumieć. Zabrał się więc do mowy migowej, dotykał marynarzy, potem pokazywał na sobie jakby podrzynanie gardła nożem i padając na kolana składał ręce wskazując na wyspę. I to nie wiele objaśniło, postanowiono więc bliżej rzecz zbadać i natychmiast spuszczone łodzie aby zbrojny zastęp marynarzy przewieźć na wyspę. Gdy dziki zobaczył te przygotowania, rozradował się bardzo, zaczął wszystkich całować w ręce a potem śmiał się i skakał że Jaś myślał że oszalał. Oddział w całej swej liczbie razem z dzikim posłańcem, wkrótce dobił do brzegu wyspy. Dzik wyskoczył na ląd, nadśledzał bacznie, potem przyłożył głowę do ziemi i rozszmiewał się cicho, coś wyszeptał niewyraźnie wskazując na płaszczyznę wyspy. Cicho, ostrożnie zaczęto posuwać się za śladem dzikiego, który nie tylko że był przewodnikiem, ale zarazem stanowił straż przednią, pilnie rozpatrywał się w okolicy jakby badał czy gdzie nieprzyjaciel nie urządził zasadzki. I tak czając się, posuwając jak koty, czasami kładąc się na ziemi gdy dziki dał znak trwogi, marynarze coraz więcej zapuszczali się w głąb wyspy. Nagle dał się słyszeć huk jakby strzału armatniego: marynarze z trwogą spojrzeli na siebie, a dziki z wielką radością rzucił się w podskoki i zaczął biedz przed siebie jakby od marynarzy uciekał.

— Czyby nas zdradą w pole wyprowadził? zapytali marynarze, trzeba mieć się na baczności, żeby nas jak myszy w łapkę nie uchwyciono.

Wstrzymano zatem dalszy pochód, i postanowiono czekać co zrobi dalej dziki pędzący jak sarna ku gąszczowi leśnemu. Huk powtórny dał się znowu słyszeć i chmary ptastwa jakby spłoszone z krzykiem przeleciały nad głowami marynarzy.

— Czekajmy! rzekł p. Walont, zagadka ta musi się wyjaśnić.

WYRZUT SUMIENIA.

Pewnego razu spyta Mamy Mania,
Czy są strachy na świecie? bo mówiła niania,
Rzecz dalej drząc cała, że w północnej porze
Czasami jakie widmo pokazać się może.

— Nie córko, nie ma strachów, to baśń niedorzeczna,
Której wierzyć nie trzeba. Ja wiem żeś ty grzeczna,
Rozsądna, więc tem gusłom możesz przeczyć śmiało.

— Ah jakże to jest dobrze, będę więc noc całą
Spać spokojnie, i nigdy nie zobaczę ducha!

— Tak córko, lecz gdy dziecię Rodziców nie słucha,
Gdy się rządzi krnąbrnością, lenistwem, uporem,
Kiedy wszystkim dokuca swym zmiennym humorem,
Wtedy go coś udręcza pośród snów marzenia,
A to coś się nazywa... wyrzutem sumienia.

Ludwik Niemojowski.

Przechadzki z Nauczycielem.

XV.

— Ach! kwiatki, co tu kwiatków! wołały dziewczynki zatrzymawszy się przy strudze płynącej około drogi.

— To niezapominajki, odezwały się drugie, a jak one ślicznie niebieszcą się.

— Każdy kwiatek jest śliczny choć inaczej wygląda, odezwał się Nauczyciel, a co to w nich mieści się różnych ciekawości!

— Opowiedz nam pan, prosiły dzieci, my tak lubimy słuchać jak nam pan Nauczyciel opowiada.

— Kwiatki nie na to są tylko żeby ziemię przystrajały, ale żeby wydały z siebie owoc który nazywamy nasieniem. A nie tak to łatwo jak się zdaje. Każdy kwiatek przy osadzie na przeciku ma jakby główkę, z niego z boków wyrastają listki różnobarwne, a ze środka przeciki które są pokryte pyłkiem. Pyłek ten jak dojrzeje opada na ową główkę która otworkami niby ustami chwyta go, pielęgnuje, wykarmia sokami i tym sposobem przemienia w nasienie. Ale nie na wszystkich przecikach pyłek łatwo się od nich odczepia, i niektóre z nich tak są twarde, że trzeba nimi trząsnąć, aby pyłek zleciał na główkę kwiatową.

— A któż im to robi?—zapytały dzieci.

— Mają one do tego służbę bardzo liczną, i ta je obsługuje z wielką pilnością.

— A cóż to za służba?

— Ani się domyślacie: są to owady różnego rodzaju, muchy, pszczoły, osy, bąki.

— Ach! to dziwne!—zawołały dzieci, a zkadże one wiedzą że kwiatkom potrzeba ich usługi.

— To jednak ciekawsze, jak one to spełniają kiedy rąk nie mają.

— O usługę swej one nie wiedzą, robią to bo muszą, gdyż inaczej zginęłyby z głodu. W każdym kwiatku w główce jego mieści się słodycz zwana nektarem, którą owady bardzo lubią. Przynęcone więc jej zapachem, owady wpadają do kielicha, pędząc na oślep uderzają o przeciki, chwycą słodycz i znowu potracając o przeciki wymykają się aby prze-

lecieć do drugiego kwiatka. Tym sposobem pyłek opada na główkę i przemienia się w nasienie. Ale są kwiaty co mają pręciki tak twarde, że takie wlatywanie i wylatywanie owadów, niechy im poradzić nie mogło. Mają zatem otwór zarośnięty jakby szpecinką zwróconą do środka, którym owad wpadając łatwo rozsuwa ale chcąc wyjść nie może ich rozdzielić, bo go kłują i tym sposobem zostaje zamknięty bez wyjścia. Naturalnie nie mogąc się wydobyć, zaczyna się złościć, zrywać na skrzydła, latać, uderzać sobą to o pręciki to o listki kielicha, i tem szamotaniem takiego harmidru narobi w środku kielicha, że nie tylko pyłek otrzęsie, ale ledwo samych pręcików nie połamie.

— A jakże się wydobędzie później z kwiatka? — zapytała Basia.

— Ginie w nim bez ratunku, ale godny pochwały, bo przy spełnieniu obowiązku. Przez śmierć jego, pyłek przemienia się w nasienie, to rozsypuje się i powstają z niego nowe kwiaty, a nasion tych z każdej rośliny nieprzeliczona liczba. Na starej np. sosnie szyszek pełno, możnaby je korcami zbierać, a w każdej szysce pełno nasienia. Z każdego zaś wyrosć może nowa sosna, gdyby więc wszystkie nasiona przyjęły się toby w koło niej las wyrosł. Ale nasion wiele ginie, porywa je wiatr i topi w wodzie lub bagnie; inne zjadają ptaki lub robaki, inne marnieją na powierzchni ziemi, dla tego też taka ich obfitość, żeby nie zginęły.

— A proszę pana.....

— Resztę opowiem wam później, przerwał Nauryciel, bo już czas do domu.

RAKI.

Tak wszystkim dobrze z powierzchowności znane, a tak dla wybornego smaku przez wielu poszukiwane *raki*, należą do gromady zwierząt *Skorupiastych*, *Skorupiaków* (Crustacea), gromady z licznych, a bardzo różnorodnych rodzajów złożonej. Wszystkie prawie skorupiaki posiadają organa *wzroku* i *dotykania*, niektóre zaś także *węchu* i *sluchu*. Organami dotykania są właśnie owe wasy czyli *macki* na głowie osadzone. Oczy ich bywają rozmaicie ukształcone: u jednych, jak naprzykład u zwyczajnego rzeczny raka, są osadzone na mniej więcej długich i ruchomych przysadkach; u niektórych bywa po jednym oku na środku głowy, a dwa po bokach; u innych są one zupełnie zbliżone i jakby jedno stanowiące. Organa sluchu, znajdujące się u wszystkich dziesięcionogich raków, umieszczone są przy nasadzie pierwszej pary maćków, rak zaś rzeczny posiada nadto i organ węchu, znajdujący się u spodu drugiej pary wąsów. Wszystkie skorupiaki za zwierzęta mięsożerne uważać należy; rzadko karmią się żywą zdobyczą, głównie zaś martwymi zwierzętami, które wyszukują w noc, dzień przepędzając ukryte w norach. W ogólności unikają dziennego blasku; w nocy zaś ujrawszy światło jak śmy spieszą ku niemu. Wszystkie skorupiaki znoszą jaja i ulegają rozlicznym przemianom. Dzielą się na 10 działów, z których najciekawszy obecnie dla nas, jest dział skorupiaków *Dziesięcionogich* (Decapoda), z *krabów*, *raków* i *krewetek* złożony.

Kraby mają ciało prawie zupełnie okrągłe, spłaszczone, pokryte twardą, nierówną, wapienną skorupą,

nóg pięć par, z tych para pierwsza w krótkie, lecz bardzo szerokie i mocne kleszcze rozrośnięta. Króciutkich wąsów dwie pary, z których jedna para wysuwalnych. Oczy także wysuwalne. Kraby w ogóle mieszkają w morzach, lecz są gatunki żyjące na lądzie, nawet w dalekiej od morza odległości, do którego udają się tylko dla wychowania młodych. Wszystkie zdolne są do ruchów szybkich, jedne pełzają bystro, drugie biegają tak ręczo, iż ich dopędzić nie można: biegają zawsze bokiem. Ciekawsze gatunki są następujące:

Krab właściwy (*Platycarcinus pagurus*) mający 1 stopę średnicy, żyjący w oceanie Atlantyckim i na pokarm używany, *Turluru* (*Gecarcinus ruficola*), przebywa stale na suchym lądzie, w miejscowościach górzystych, w mokrych piaskach, błocie lub rozpadlinach skał; spotykać się daje obficie tylko w gorących strefach Azji i Ameryki. Raz w rok zbierają się one w wielkie stada, dla odbycia podróży do morza, aby tam znieść swe jaja. Godnem jest uwagi, że w tych wędrówkach nie obchodzą nigdy żadnej przeszkody, domu, lub zagrody, lecz przez nią suną się całym taborem, nigdy z prostej linii nie zbaczając.

Krab Palmowy mieszka także na lądzie, w gorących miejscowościach na wyspach oceanu Spokojnego, zwykle przebywa na drzewach palmowych, których wierzechołki czyli zawiązki liściowe, zwane kapustą palmową, swemi kleszczami ścina i niemi się żywi. Biega szybko i mięso jego ma być bardzo smaczne.

Rak zwyczajny czyli *reczny* (*Astacus fluviatilis*), znany wszystkim mieszka we wszystkich mniej więcej biejących wodach Europy.

Rak morski albo *Homar* (*Astacus marinus* vel *Homarus vulgaris*), znajduje się około skalistych brzegów Niemieckiego i Bałtyckiego morza, gdzie dorasta do 1½ stopy długości. Mięso jego za wielki przysmak jest uważane i znaczna ilość statków w pewnych porach roku trudni się li tylko ich połowem, zwłaszcza na morzu Północnem ku brzegom Szwecji i Norwegii, gdyż im więcej na północ tem obficie i większe trafiają się homary. Statki rybackie trudniące się tym połowem umyślnie i stosownie na ten cel są urządzone, tak ażeby na nich, złowione homary przez czas dłuższy żywymi przechować się mogły.

Krewetki (*Carida*) z powierzchowności do raka zwyczajnego bardzo zbliżone, mają nogi cienkie a długie, ciało zaś miękką skorupą pokryte; brzuszna część jego, zgrubiała przy początku, moeno jest w dół zagięta. Raczki te są wybornego smaku i bardzo poszukiwane, lecz małe, nie przechodzą bowiem dwóch cali długości. Mieszkają w morzach, przy brzegach, często wielkimi gromadami. Na brzegach Hollandyi i Francyi północnej łowią je w znacznej ilości, zwłaszcza po odpływie morza. W Czarnem Morzu obficie się też znajdują. Wiele drobnych gatunków raków zowią *Pajakami morskimi*, z powodu ich długich nóg, wszystkie są jadalne. Wspomnieć jeszcze musimy o osobliwym gatunku raka, który mając część brzusznią bardzo przedłużoną i nagą, kryje ją w muszlę jednoskorupną, zjadłszy jej prawego właściciela, mięczaka, i z tą skorupą ciągle się nosi, trzecią częścią swego ciała z niej wystając. Gdy się rozrasta i skorupa ciasną się staje, opuszcza ją a wyszukuje innej przestronniejszej. Rak ten zowie się *Pustelnikiem* (*Pagurus*) a przebywa

w Niemieckiem i Śródziemnem morzach; kleszcz jeden tylko ma wielki, drugi mały.

H. K.

Rozmowa z Mamą.

— Powiedz mi, kochana Mamo!—pytała raz Zosia—dla czego Mama Florcię zawsze gani?

— Moje dziecię—odrzekła Matka—Florcia nie podoba mi się z wielu względów.

Florcia ma piękny kapelusik z kwiatkami i piórami kosztownymi, ale do jej głowy, którą okrywa kapelusik, nie nie wchodzi, albowiem nie dokłada pilności...

Florcia nosi wykwintne rękawiczki z delikatnej skórki, rączki jej są białe i delikatne, ale one nie chcą nigdy zająć się pracą i nie jeszcze nie wykonały dobrego...

Florcia nosi różowy stanik podług modnego kroju, wstążkami jedwabnymi ozdobiony, ale serduszko, które pod nim bije, jest nie najlepsze...

Florcia ma trzewiczki ozdobne, ale jej nogi nie chcą chodzić tą drogą, którą jej wskazują starsi...

Florcia używa pięknego parasolika, ażeby jej słońce nie opaliło twarzy, lecz ona na duszy ma planki, które tylko zynąć można pracą, pilnością i posłuszeństwem...

pućla bardzo ładnego. Zmysłny ten pies, chodząc ciągle za swoim panem, znalazł sklep z tytunem, w którym pan K. zawsze cygara kupował, i gdzie psa bardzo lubiono, a sprzedająca tytuń, zawsze mu chleba dawała.

Znając zmysłność pućla pan K. chciał ją wypróbować. Uprzedziwszy w sklepie, że na próbę przysła psa z pieniędzmi, prosił, aby mu za nie dano cygar. Wszyscy byli ciekawi jak się pies wywiąże z tego polecenia.

Wróciwszy do domu zawołał pućla, pokazał mu cygaro i pieniądze, i powiedział mu „*alon! aportal!*“ Pies jak gdyby zrozumiał co do niego mówią, zaczął skakać radośnie jak to zwykle robił wychodząc z panem na spacer, wziął do pyska pieniądze, i pobiegł ku drzwiom skomląc by je otworzono. Gdy go wypuszczono cwałem pobiegł do sklepu i wszedłszy do niego, zaczął się łąsić, poszczekiwać, potem wsparł się przednimi łapami na kantorze, rzucił pieniądze i usiadłszy wpatrywał się w sklepową jakby zapytywał, czy wie po co przyszedł? Sklepowa uprzedzona o wszystkim pogłaskała psa, pokazała mu że bierze pieniądze i wyjęła kilka cygar, obwinęła je w papier, obwiązała dobrze sznurkiem, i oddając pakiecik pućlowi, pokazała mu że za sznurek go trzymać powinien. Pućel uradowany pobiegł do swego



Rak rzeczny.

Otóż z tej przyczyny, moja Zosiu, Florcia mi się nie podoba.. Cóż więc znaczą jej piękne suknie? Nie będzie się mogła nigdy podobać dobrym ludziom, jeżeli serca i duszy nie ozdobi klejnotami enoty...

— Żal mi jej, kochana Mamo!—dodała Zosia.

— Tak, tak, moja córko, człowieka bez cnót trzeba żałować rzeczywiście... Florcia jednak może się poprawi i będzie się mogła podobać Bogu i ludziom!

— I ja chcę, żebym się ludziom podobała, dla tego wszystko to będę robiła, czego nie robi Florcia.

Mama pocałowała Zosię za to w czoło.

Józef Chmielewski.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przeczytawszy w jednym z dawniejszych numerów Przyjaciela Dzieci, artykuł o psach historycznych który mi się bardzo podobał, przypomniałem sobie historię jednego psa, należącego do znajomego moich rodziców Pana K. Pan K. który służył w Austriackiem wojsku i mieszkał w Wiedniu, miał

pana, i oddał mu sprawunek w niczem nie uszkodzony.

W kilka miesięcy później, pan K. z pućkiem swoim przeniósł się do Lińcu o kilkadziesiąt mil od Wiednia.

Inni koledzy którzy nie znali dotąd owego pućla, bardzo byli ciekawi poznać jego zmysłność.

— To bardzo łatwo, powiedział pan K., dam mu pieniądze a zaraz mi cygar przyniesie. Jak powiedział tak zrobił. Pies uradowany wybiegł; ale mija godzina za godziną, minął wieczór i pies nie wrócił. Wtenczas dopiero przypomniał sobie pan K. że nie jest w Wiedniu tylko w Lińcu, zatelegrafował zatem do sklepu z tytunem w Wiedniu, zapytując czy tam przypadkiem psa nie widziano z pieniędzmi na cygara przeznaczonemi.

Następnego dnia przybyła odpowiedź, że istotnie pies przyszedł do sklepu bardzo zdrożony, i że jeść i pić nie chciał, tylko wzięwszy cygara natychmiast wybiegł. Dopiero po trzech dniach powrócił do Lińcu, ze znużenia prawie upadał ale cygara w najlepszym stanie oddał swemu panu.

Jeden z czytelników Przyjaciela.

Władzio G. z Radomia.